Rok XXXII. Tydzień 17. № 1630. Roku 1912.

Miesiąc Kwiecień. — Niedziela 4.

Dnia 15/28 Kwietnia 1912 roku.

Cena Gazety Świątecznéj:

bez przesyłania:		z przesyłaniem:	
Na cały rok	2 ruble	Na cały rok	3 ruble
„ pół roku	1 rubel	„ pół roku	1 r. i 50 k.
„ ćwierć roku	pół rubla	„ ćwierć roku	75 k.

Gazeta pojedyńczo kosztuje 5 k., z przesyłką 7 k.

Przedpłatę na Gazetę Świąteczną wysyłać należy do **Tadeusza Prószyńskiego** w Warszawie, ulica ŚwiętoKrzyska, liczba 2, róg Nowego-Świata. Tamże mieści się Redakcja i Wysyłalnia Gazety Świątecznéj oraz Księgarnia Krajowa.

Liczba telefonu Redakcji, Wysyłalni i Księgarni 39-70.

Za ogłoszenia od drobnego wiersza lub jego miejsca na stronie ósméj 1 r., a na str. dalszych po 60 k. Małe ogłoszenia stałych czytelników darmo.

Utwory wykończane w Gazecie Ś., są własnością redakcji, więc tylko za jéj przyzwoleniem przedrukowywane być mogą. Rękopismów nie zwraca się.

Utwory nadesłane na nowy konkurs Gazety Świątecznéj.

W końcu roku ubiegłego ogłosiliśmy w Gazecie 1613-éj nagrodę pisarską za utwór powieściowy, odpowiedni do wydrukowania w piśmie naszém bez żadnych zmian i poprawek, a przytém czyniący zadość wyłuszczonym tamże warunkom. Na skutek odezwy téj otrzymaliśmy utwory pod następującemi napisami:

1) Z pól racławickich. — 2) Psiakrew.— 3) Przez jeden sen. — 4) Hania z chersońskich stepów. — 5) Pan Sobek. — 6) Wigilja Św. Jana. — 7) Za borem, za lasem.— 8) O Jaśku. — 9) Jaśko Mądrala. — 10) Doktor Karol. — 11) Zdobyte serce. — 12) Sieroca dola. — 13) Wychodca. — 14) Ballada. — 15) Weronka. — 16) Za cudze winy. — 17) Wieś i dwór. — 18) Pan Uryk i pan Jop. — 19) Dziedzic ś. p. pana Ignacego Żurka. — 20) Zosia. — 21) Prawdziwa historja z życia najbiedniejszych. — 22) Smok wawelski. — 23) Jędrek. — 24) Dwa życia. — 25) Anioł Pański. — 26) Niespodzianka utraty i nabycia. — 27) Powrócił. — 28) Jedna matka-ziemia. — 29) Ojcowa zagroda. — 30) Przerwana piosenka. — 31) Herbatka. — 32) Jeden z tysiąca. — 33) Jasio. — 34) Zośka. — 35) Kto winien? — 36) Dola. — 37) Wyśniony królewicz. — 38) Opowiadanie z życia ludzkiego. — 39) Skarga zesłańca. — 40) Gość. — 41) Dzieje rodziny Kawki. — 42) Palec Boży. — 43) Ze złéj i dobréj doli. — 44) Sad umarłych. — 45) Na wzgórzu róż. — 46) Pani z Białego Kasztelu. — 47) Jak pan August polował na „żywy towar“ na wsi. — 48) Seminarzysta. — 49) Za króla chłopów. — 50) Zerwane struny. — 51) Czary. — 52) Czarne jezioro. — 53) Przeczucie. — 54) Łyżwy albo Sen Jasia. — 55) Na gruzach. — 56) Zapomniana natura. — 57) Nowy dziedzic. — 58) Bogacze. — 59) Dziaduś nie pobłogosławił. — 60) Ewka kwitnie w panieństwie jak biała lilija. — 61) Siostra Anna. — 62) Brzask. — 63) Na dalekiéj, obcéj ziemi. — 64) Dziwna postać. — 65) Jak wielkopolanki odzyskały ojcowiznę. — 66) Zapłacone długi. — 67) Pochwycona w sidła. — 68) Kłopoty spadkobiercy. — 69) Floruś. — 70) Zagroda Piotrowa. — 71) Z pensjonarskich czasów. — 72) Z Jasnéj Góry pod Wiednia mury. — 73) Grzech główny, smutna historja, jakich wiele. — 74) Marsz do Bethovena. — 75) Obrazek wiejski. — 76) Trzech Jamrozów. — 77) Przybłęda. — 78) Jutro i dziś, czyli Dzieci Powiśla. — 79) Cieś na leśniczówce. — 80) Artystyczna dusza. — 81) Raj ziemski. — 82) Djabeł na pokucie. — 83) W pogoni za ideałem, czyli Wszystkiego jéj mało. — 84) W Janowie. — 85) W niewoli na lądzie i morzu. — 86) Jak skorzystał z nauki Wacek, a jak Bronek. — 87) W gruzach. — 88) Hanka z pod lasu. — 89) Nieroztropni. — 90) O wychowaniu i postępkach naszéj młodzieży. — 91) Ziemniaki. — 92) Zapobiegliwość i chciwość (bez koperty z nazwiskiem autora). — 93) Dola Pytluka (również bez koperty). — 94) Czy jéj wina? (także bez koperty). — 95) W szponach. — 96) Święci wędrownicy.

Oprócz wymienionych, przysłano jeszcze jakoby „na konkurs” lub w związku z nim i w oznaczonym czasie 14 rękopismów, których pisarze jednak przekroczyli jeden z głównych warunków, bo wyjawili w samych pracach lub w osobnych listach do redakcji swoje nazwiska. Prace te nie będą z tego powodu podlegały sądowi.

Wyrok i wynik sądu co do spisanych powyżéj utworów wydrukowany będzie w Gazecie Świątecznéj po ukończeniu pracy przez Sędziów zaproszonych.

W jaki sposób dolę naszą poprawić możemy.

(Ciąg dalszy.)

Krzywdzimy dzieci, gdy nie staramy się o większą liczbę szkół. Wszakże wiadomo, że nawet połowa dzieci nie mieści się obecnie w szkołach, a matki nieraz są zadowolone, gdy dziecka nie przyjmą do szkoły, bo mają się kim wyręczyć. A i te dzieci, co chodzą, to bardzo często jak z łaski; dzień pójdą, a dwa dnie zostają w domu. Coraz to coś przeszkadza w chodzeniu do szkoły: to chrzciny, to pranie w domu, to buty na czas nie naprawione, to jarmark w miasteczku, a gdy wesele u sąsiadki — trzy dnie dzieciak nie idzie do szkoły! Potrzebne dziecko do niańczenia małego — do szkoły nie idzie; od wczesnéj wiosny do późnéj jesieni pasionką zajęte, ledwie w listopadzie rozpoczyna naukę, w marcu kończy, a często już w styczniu rodzice oddają je do służby; w naszych stronach dziecko musi często nawijać wełnę na cewki, gdy przecie do tego są umyślne przyrządy. A czy tam do głowy przybyło nauki, czy nie, to mniejsza. Wreszcie mówią rodzice, że „nauczyciel winien, bo kiepsko uczy, to nawet i próżno posyłać”. A najlepszy nauczyciel cóż może uczynić w takich warunkach?

Czy naprawdę rodzice nie mogą obyć się bez posługi dzieci? A co dzieje się w rodzinach, które nie mają dzieci, albo w tych krajach, gdzie chodzenie do szkoły jest obowiązkowe i za nieposyłanie dzieci do szkoły rodzice płacą karę? A wszakże tam gospodarstwa lepiéj stoją, niż u nas. Nasze dzieci na wsi są w niewoli u bydła; siedzi to biédactwo dzień cały na zimnie, słocie, skulone, zziębnięte dla jednéj czy paru krów, albo dla kilku gęsiaków. Jakże łatwo zaziębia się i umiera! Matki wiedzą, że takie chodzenie za bydłem nietylko zdrowiu dzieci szkodzi, ale co gorsza, i ich duszom!

Prawda, że często biéda zmusza rodziców do takiego posługiwania się dziećmi, ale również i brak oświaty. Rodzice nie rozumieją, jakie obowiązki mają względem dzieci; zdaje się im, że dążyć przedewszystkiém powinni do tego, żeby dzieciom zostawić ziemię i pieniądze, więc starają się o to, aby powiększyć mienie; ale nie zastanawiają się nad tém, że jeśli nie dadzą dziecku dobrego wychowania i nauki, to dziecko nie potrafi ocenić ani uszanować pracy rodziców, a często nawet roztrwoni majętność w krwawym pocie przez rodziców zdobytą. Tak też i z pasionką bydła. Dziecko jeszcze samo opieki rozumnéj wymaga, a tu każą mu bydlaka doglądać.

Mój znajomy gospodarz już od roku zwolnił swoje dzieci od téj niewoli i po-

syła je do szkoły regularnie; bydło trzyma w oborze dobrze przewietrzanéj i tylko na godzinę codzień wypędza; liczy akuratnie, ile mléka ma od krów, i przekonał się, że teraz ma dwa razy więcéj, niż miał przedtém; krowy są tłuste, a pasza wypadła taniéj; wyliczył, że dwie krowy trzymane ciągle w oborze kosztują tyle, co jedna na polu; sieje on dla krów koniczynę czerwoną i wykę z bobikiem, a że krowy nie stratują, więc wystarcza na cały rok tego, co dawniéj zjadły przez lato. Gospodarz ten mówi, że za jakie pięć lat nikt w naszych stronach nie będzie wypędzał krów na pole, bo wszyscy się przekonają, że lepiéj krowy przez cały rok trzymać w oborze.

Za pięć lat — to chyba już i matki będą rozumiały, że dziewczyn od najmłodszych lat za popychadła w domu trzymać niewolno, że kiedy Bóg Najwyższy dał człowiekowi duszę i rozum, to obowiązkiem rodziców jest rozum dziecka oświecić. Chrystus Pan zbierał dziatki i nauczał, a jakże my z tego przykładu korzystamy? Ileż to matek nie rozumie, że kto ma naukę w głowie, to mu tego ani ogień, ani woda, ani złość ludzka nie zabierze; że na naukę nietrzeba żałować pieniędzy, choćby wypadło dać potém mniéj posagu, bo człowiek ciemny, choć i bogaty, nie umie dobrze się rządzić, ani bronić się od krzywdy, a nieraz zmarnuje ojcowiznę, bo jéj utrzymać nie potrafi.

Przekonałam się nieraz, że rodzice są najczęściéj obojętni dla nauczycieli na wsi i nie oceniają ich należycie. A to źle bardzo. Dobry nauczyciel, to pierwszy po rodzicach wychowawca dzieci. Gdyby rodzice byli dla niego życzliwi, miałby zachętę w pracy, oddawałby się jéj z coraz większém zamiłowaniem. Korzystałyby z tego dzieci, a więc i rodzice.

Brak nam oświaty, gdyż mamy za mało szkół! Oto spójrzmy uważnie na to koło:

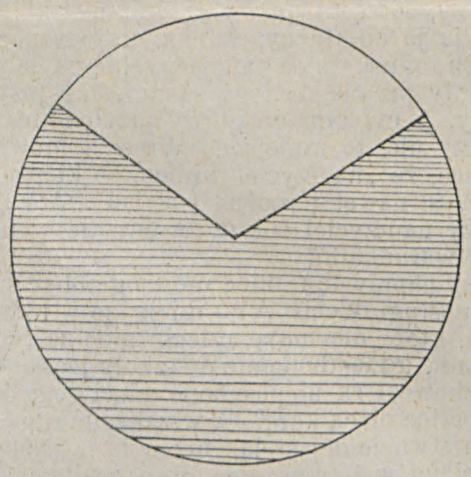

Jeśli wyobrazimy sobie, że w tém kole mieszczą się wszyscy mieszkańcy Królestwa Polskiego, to na przestrzeni jasnéj staną ci wszyscy, którzy czytać umieją, a na ciemnéj ci, którzy czytać nie umieją. Z tego widzimy, że tylko jedna część ludności umie czytać, a dwie części czytać nie umieją. Przeto naród żyje w ciemnocie, a krzywda ta dzieje się nam dlatego, że mamy za mało szkół.

Przyjrzyjmy się tablicy podanéj tu niżéj; każda jéj krateczka wyobraża jedną szkołę.

Tablica ta poucza nas, że w Norwegji, niedawno jeszcze ubogim i ciemnym kraju, na każde tysiąc dzieci w wieku szkolnym (od 7-miu do 14-tu lat) przypadają 33 szkoły, w Czechach na tysiąc dzieci są 23 szkoły, a w Królestwie Polskiém na tę samą liczbę dzieci mamy zaledwie 6 szkół.

Nie żałujmy chwili czasu, przeczytajmy i rozważmy liczby, które tu daléj jeszcze podaję, a dowiemy się bardzo ciekawych i pożytecznych rzeczy:

(Tablica 2.) Kraje	Obszar każdego kraju licząc w wiorstach kwadratowych *)	Liczba mieszkańców każdego kraju	Liczba nieczytelnych	Na każde 100 osób przypada umiejących czytać (nie licząc dzieci do lat 9)
Królestwo Polskie	108,451	11,538,585	3,051,866	41
Czechy	51,948	5,843,250	321,378	95
Norwegja	321,477	2,240,932	18,372	99

*) Wiorsta kwadratowa oznacza kawał ziemi wiorstę szeroki i wiorstę długi.

(Tablica 3.) Kraje	Liczba dzieci w wieku szkolnym, przypadająca na każde 100 wiorst kwadratowych	Liczba szkół początkowych przypadająca na każde 100 wiorst kwadratowych	Liczba dzieci przypadająca na jedną szkołę początkową
Królestwo Polskie	1,500	4	250
Czechy	1,940	31	57
Norwegja	1,130	28	33

(Tablica 4) Kraje	Liczba szkół początkowych przypadająca na 1000 dzieci w wieku szkolnym	Liczba uczniów uczęszczających do szkół średnich (gimnazjalnych)	Na każdą setkę młodzieży od 12 do 20 lat uczy się w szkołach średnich
Królestwo Polskie	6	14,454	19
Czechy	23	16,192	39
Norwegja	33	77,217	70

W guberńji łomżyńskiéj przypada jedna szkoła na 55 wiorst kwadratowych. *) W guberńji radomskiéj na jedną szkołę początkową przypada 698 dzieci. W Królestwie Polskiém najwięcéj dzieci uczy się w guberńji piotrkowskiéj, a jednak zaledwie czwarta część chodzi do szkoły, a trzy czwarte dzieci nie ma gdzie się uczyć; to znaczy, że z każdéj setki dzieci w guberńji piotrkowskiéj zaledwie 25 chodzi do szkoły, a 75 nie chodzi. Jeszcze gorzéj dzieje się w innych guberńjach. Oto w guberńji lubelskiéj z każdéj setki dzieci, które powinny się uczyć, chodzi do szkół zaledwie 15 dzieci, w radomskiéj 13 dzieci, w łomżyńskiéj 12, w suwalskiéj tylko 10 dzieci z każdéj setki uczy się w szkołach, a dla 90 dzieci niéma w szkołach miejsca.

Z tego widzimy najlepiéj, jak bardzo brak nam szkół!

Szkoła początkowa powinna być w każdéj większéj wsi; tak jest w wielu innych krajach. Wszystkie dzieci powinny uczyć się w szkołach, starać się o to trzeba usilnie, nie zwlekać, czasu nie marnować. Gdzie brak szkoły, gromada powinna uchwalić jéj budowę. Nikt nie powinien żałować kilku rubli na szkołę, i ci, co mają dzieci, i ci, co nie mają, bo to i dla ich dobra jest potrzebne. Gdy chłopiec sąsiada nie chodzi do szkoły, to z próżniactwa dopuszcza się złych figlów, nawet nie rozumiejąc, że źle czyni; oberwie kwiat z drzewa owocowego, ryby ze stawu wybierze, pszczoły z ula wypłoszy, a kiedy będzie chodził do szkoły, nauczy się, że to źle, że tak czynić to grzech.

*) Podług dzieła Radziszewskiego: „Szkolnictwo w Królestwie Polskiém".

Pozwolenie na szkołę nietrudno teraz uzyskać, a nawet i zapomogi na budowę szkół rząd chętnie daje gminom. Nauczycieli dobrych też niebrak, tylko trzeba wiedzieć, gdzie ich szukać. Należy starać się o zapomogę rządową stałą na utrzymanie nauczyciela i na budowę domu. W powiecie łaskim przyznano zapomogi stałe po 360 rubli rocznie dla nauczycieli i po 2 tysiące rubli na budowę szkolnych budynków.

Gdyby z pośród 8-miu miljonów włościan zamieszkujących Królestwo Polskie, tylko 2 miljony odkładało rocznie po rublu na naukę, ile za to mogłoby być szkół! A przecie byłaby to zaledwie drobna część tego, co wydajemy na wódkę; boć wiadomo już chyba każdemu, że na wódkę wydajemy w samém tylko Królestwie Polskiém aż 36 miljonów rubli.

A. Chmielińska.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

(Tablica 1.) Na tysiąc (1000) dzieci w wieku szkolnym mają szkół początkowych:

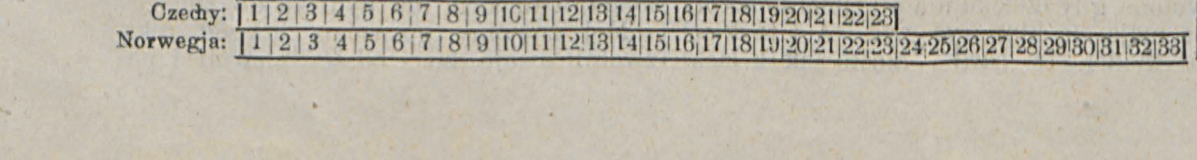

Smutna starość.

(Ciąg dalszy.)

Od czasu do czasu zaczął więc Antek przebąkiwać o swém ożenieniu, a kiedy ojciec dowiedział się, że syn myśli o córce młynarza, że tam spędza wieczory, siarczyście się rozgniewał, srożył się i opierał temu uparcie, mówiąc:

— A niech mnie Bóg uchowa od takiéj synowéj! Toż to córka jędzy piekielnéj. Do młyna przecież jeżdżę i widzę, co się tam dzieje: obie z córką starego za nos wodzą, a trzepią językami mocniéj niż wszystkie pytle!

— Co wy wiecie, tatuniu! Dziewczyna szczere złoto: przemyślna, pracowita. A czy to biéda, że wesoła? Nie pozwolicie ożenić się z nią, to pójdę w świat i nie wrócę nigdy.

Od tego czasu Antek posmutniał, domu się nie trzymał, opuszczał się nawet w robocie. Więc cóż stary ojciec miał począć? Z wielkim żalem i wstrętem pozwolił synowi ożenić się z wybraną przez niego dziewczyną. Pobłogosławił, pomógł, i znowu było w chacie Marka wesele, tylko dla niego samego ani trocha niewesołe. Serce jego przeczuwało coś niedobrego.

Prawda, że młoda gospodyni zwijała się jak fryga, ale odrazu rej wodzić zapragnęła nie ustępując w niczém nikomu. Przy niéj i mąż nabrał hardości i ojcu zaczął się stawiać okuniem. Już teraz nie oglądał się wcale, czy stary będzie gderał, czy nie, i biegli wraz z żoną do karczmy na ochotę, nie opuszczając żadnéj sposobności, gdy można było się zabawić.

Marek miłujący spokój nie doczekiwał się, aż syn zacznie się domagać swego działu; odrazu odciął mu połowę gruntu.

— Niewielki to szmat ziemi, ale wiele więcéj wart od sąsiedzkiéj, — mówił Marek pokazując Antoniemu gęstą runią okryte zagony. — Moim to potem użyźniona rola. Chleba ci nie zabraknie, tylko się szanuj. Dla Janka i dla siebie zachowam drugą połowę, przecież on kiedyś wróci. Chudoby roboczéj mamy podostatkiem. Téj używać będziemy spólnie.

Nic teraz nie brakło Antkowi do szczęścia: żona szczebiotała wesoło; stół był zawsze nakryty czystym obrusem, barszcz był na obiad, kluski z mlékiem na wieczerzę i szeroka pościel na odpoczynek. Choć się młodzi gdzie zadługo zabawią, ojciec chudobę napoji, nakarmi, sadu dopilnuje. Siedząc pod suszarnią po dawnemu struże, piłuje. Od czasu do czasu wyjmie z za pazuchy list Janka i, choć czytać sam nie umie, ale pamięta każde słowo, co mu wyczytali piśmienni; więc ogląda ten zbrukany, zmięty papier, wzdycha i szepce pacierze za zdrowie syna, za rychły jego powrót. Ciężko mu na duszy; czuje, że z synową nie będzie zgody.

Z każdym dniem, z każdym miesiącem Antkowa coraz to gorzéj z ojcem się obchodzi; odpowiada mu hardo, złośliwie. Gdziekolwiek ojciec w chacie usiądzie, położy coś swego, zawsze jéj zawadza; tu naśmiecił, tam okno jéj zastąpił. A gdy zabawi dłużéj w polu lub w mieście, napewno nie zastanie wieczerzy; chyba zlewki jakieś na dnie miski szurnie mu ze złością Magda.

— Ty mi tak nie furkaj, — odezwie się czasem Marek, — bo ja nie jém twego chleba i nie przy kieliszku zabawiłem się tak do późna.

Wtedy niedobra kobiéta zaczynała wyrzekać, krzyczeć, płakać, jakby jéj się krzywda jaka działa, i groziła mężowi, że go porzuci; aż tak go omotała, że ujmował się za nią przeciw ojcu; wreszcie i Antkowi ojciec rodzony zaczął zawadzać; syn radby całą jego gospodarkę zagarnąć.

Póki panuje zgoda w chacie włościańskiéj, jest ona miłém schronieniem dla całéj rodziny i starczy miejsca dla każdego. Ale niechże się wmiesza tam duch niezgody, wtedy chata w piekło się przemienia, dla prześladowanego niéma już w niéj bezpiecznego, spokojnego kąta.

Doświadczył tego na sobie Marek i, żeby mieć spokój, postanowił wkońcu zamieszkać osobno.

— Na co wyście, tatuniu, tak dużo drzewa nakupili? — pytał Antek ojca, wróciwszy z lasu w porze jesiennéj.

— Czy to mało mi go trzeba? — odpowiedział Marek.

— Tyle na stelmaszkę! Nie może być!— odrzekł syn. — Pokazywał mi żyd słupy dębowe i dużo innego budulcu, jakby na chatę.

— A no, choćby i na chatę! Z wami dłużéj dosiadywać nie chcę; ciebie baba wzięła za łeb, to niechże trzyma. Ode mnie wara!

— A gdzież myślicie wsadzić tę chatę? Obejście nasze niebardzo przestronne, — burczał gniewnie Antek.

— Nie troszcz się, nie będę ci blizko zawadzał. Postawię chatę w sadzie, wyjazd nawet zrobię sobie na drugą ulicę.

— Alboż i sadu nie szkoda? Na lewadzie mieliśmy tam zawsze trochę siana.

— I tego ci nawet szkoda dla ojca, dla brata!? Ale cóż robić! Tak być musi i będzie, bo się tak sprawiedliwie należy.

Antkowi bardzo nie podobał się pomysł ojca. Gdy będzie druga chata, to już Janka nie pozbyć się czémkolwiek.

Magda, gdy się dowiedziała o zamiarach ojca, wpadła w złość wielką.

— Niedoczekanie ich! Nie pozwolę na to, żeby urywali nam gruntu, niszczyli sad taki urodzajny, rozsiadali mi się tuż pod bokiem! A żeby im tyle bolączek, ile zagarną ziemi!

— A czyjaż to wina, jak nie twoja?— odrzekł Antek; — kto ojcu dopieka? A przecież można było żyć z nim w zgodzie! Teraz trzeba będzie wszystkiém się dzielić!

I wszczęła się kłótnia pomiędzy małżonkami.

Tymczasem Marek całe dnie spędzał w lesie. Odżył, odmłodniał, nabrał jakby nowych sił, odkąd postanowił oddzielić się od syna, zostać znowu niezależnym gospodarzem w swéj chacie. Tam będzie spokojnie doczekiwał powrotu Janka, a dla niego sam wybierze poczciwą dziewuchę.

E. Kor.

(Co było daléj, podamy za tydzień.)

NOWINY.

Po zcaleniu gruntów. Ze wsi Świerż-Kończan w powiecie ostrowskim, guberńji łomżyńskiéj, piszą do nas:

Od czasu, jakeśmy grunta swoje zcalili, nastąpiła u nas wielka zmiana na lepsze nietylko w sposobie uprawiania roli i gospodarowania, ale wogóle oświata teraz lepiéj stoji. Wszyscy to widzimy; nawet ci, którzy nie mieli chęci do zcalenia gruntów, bardzo się teraz cieszą, że się to stało. Mamy już we wsi kilka bron sprężynowych, dwa doprawiacze, trzy młocarnie i cztery kieraty konne do sieczkarń. Zboże teraz miewamy całkiem inne, — piękne na podziw. Bywało dawniéj, jak gospodarz 30-morgowy zmłócił 20 korcy żyta i 24 korce owsa, to już mówiono, że urodzaj dobry; bo jakże mogło się więcéj urodzić, kiedy nasienie było starodawne, zanieczyszczone, a ziemia byle jak uprawiona? A teraz gospodarz 15-morgowy, jak naprzykład ja, który to piszę, miewa do 30-tu korcy żyta i tyleż owsa. Dawniéj gospodarz nie miał od sześciu krów tyle nabiału, co teraz ma od jednéj. Pastwiska były liche, pasło się wszystko razem: bydło, świnie, owce i gęsi. Teraz jest inaczéj. Teraz też dopiero wiemy, co to spokój we wsi, bo ustały kłótnie, swary, włóczenie się po sądach. — A zawdzięczamy to wszystko naszemu dawnemu proboszczowi, księdzu Klemensowi Sawickiemu, bo się w sprawę zcalenia gruntów wdał i do skutku ją doprowadził chociaż niemało przykrości musiał znieść od ciemnych ludzi. Obecnie ksiądz ten jest w Rożanie pod Pułtuskiem. Przychodzą do wsi naszéj trzy egzemplarze Gazety Świątecznéj, która nam bardzo w głowach rozjaśniła; wiemy teraz, jak się do jakiéj roboty brać, jak przy chacie sad założyć, jakie drzewa na jakiéj ziemi sadzić, jakiego nawozu sztucznego na jakie ziemie, pod jakie zboże używać, jak kartofle sadzić nowym sposobem i t. d. Co do sadzenia kartofli, to sam spróbowałem sadzić pod znacznik i pomimo niezwykłéj suszy w roku zeszłym miałem kartofle bardzo piękne. Nie zmierzyłem dokładnie ziemi pod te kartofle, tylko wiem, że zasadziwszy pod znacznik półczwarta korca, nakopałem 30 korcy, z 7-miu zaś korcy sadzonych starym sposobem w rządki nakopałem 40 korcy; to pokazuje, że sadzone wkwadrat dały plon o wiele lepszy. Sadziłem 22 cale głęboko, a można sadzić i na łokieć. Latoś już wszystkie kartofle bez obawy będę sadził pod znacznik. W roku zeszłym nasłuchałem się niemało drwin; mówiono o mnie: — Zasadził rzadko, to i jeść będzie rzadko. — Co prawda, powschodziły kartofle rzadko, ale potém nać wyrosła na dwa łokcie, a gdym w jesieni kopał, to sąsiedzi patrzyli i mówili, że będę jadł gęsto. Już to nieraz się pokazało, że Gazeta dobrze naucza i dobre daje rady.

Fr. N.

Z gminy Bąkowskiéj pod Łowiczem piszą do nas:

Nieraz już zdarzało mi się czytać głosy gminiaków z różnych okolic o wyborach wójta w gminie. Jedni piszą, że u nich na wójta wybrano człowieka uczciwego, oświeconego, rozumnego, dobrego obywatela kraju, drudzy zaś użalają się, że u nich wójt został wybrany za piwo i wódkę. Otóż w naszéj gminie przypadają też wybory nowego wójta, a jakiego wybiorą gminiacy, to jeszcze niewiadomo. Tylko to jest pewne, że jeden z ubiegających się o to stanowisko zostawił już zadatek w jadłodajni i cała banda krzykaczy i półgłówków chodzi tam na poczęstunek bezpłatny. Wierzcie mi, szanowni gminiacy bąkowscy, słyszałem to od bardzo uczciwego człowieka, który mówił, że przypadkiem był już na owym poczęstunku. A więc baczność, gminiacy! Wybierzmy na wójta człowieka trzeźwego, dobrego obywatela kraju, nie zaś takiego, który stawia ten djabelski trunek, aby nas dla siebie zjednać. Pamiętajmy, że wybierając wójta za gorzałkę zrobimy wstyd i hańbę swéj gminie! *Gminiak.*

Z Kiełczygłowa w powiecie wieluńskim, guberńji kaliskiéj, piszą do nas:

Wieś nasza leży bardzo daleko od miast, więc trudno tu było rolnikowi kupić dobrą maszynę lub narzędzie rolnicze. Ale oto teraz jeden gospodarz z Kiełczygłowa zawarł umowę ze składem T. Czarlińskiego i K. Swinarskiego, że będzie sprzedawał brane od nich maszyny i narzędzia rolnicze po cenach takich, jak w Warszawie. Niektórzy pokupowali już za jego pośrednictwem różne narzędzia, z których są zadowoleni. Czytelnicy Gazety Świątecznéj oraz członkowie kółek rolniczych otrzymują przy kupnie duże ustępstwo. Z radością o tém piszę do Gazety, bo z rozpowszechnieniem dobrych narzędzi rolniczych polepszy się tu uprawa ziemi. Gospodarze powinni skorzystać z tego ułatwienia i nabywać narzędzia nie lękając się wydatku, bo on się prędko opłaci. Z radością widzę również i to, że gospodarze biorą się tu coraz bardziéj do handlu, którym dotychczas wieśniacy tak mało się zajmowali. — Cały wielki tydzień zimny był u nas bardzo, wietrzny i dżdżysty, a z soboty na wielką niedzielę zerwał się taki wiatr, że poprzewracał płoty, drzewa, pozrywał da-

chy, i wiał tak gwałtownie przez cały dzień. Tydzień wielkanocny nie był też lepszy, a nawet jeszcze gorszy, bo dnia 11 kwietnia był taki mróz, że ziemia zmarzła na kilka cali, i padał śnieg z przerwami; dnia zaś 13 śnieg pokrył ziemię jak w zimie, i zimno jeszcze przez kilka dni potém dokuczało. Nie wyjdzie to na dobre zasiewom, a szczególniéj ziemniakom, których gospodarze bardzo wiele już zasadzili korzystając z ciepłego marca. Wielu sieje w tym roku siewnikiem rzędowym, wypożyczając go od zamożniejszych sąsiadów lub od księdza. Idziemy więc naprzód.

Andrzej Sz.

Z pod Brześcia Kujawskiego piszą do nas: Wiosna w tym roku wcześnie do nas zawitała. W drugiéj połowie marca wzięliśmy się do siewu grochu, owsa, jęczmienia i wyki; ale od Zwiastowania Najśw. M. Panny powróciło znów zimno, wiatr, a nawet przymrozki 5 do 10-stopniowe, i dopiero 14-go kwietnia doczekaliśmy się znowu ciepła. W wielką niedzielę był taki wicher, że przewracał płoty, stodoły i obory. Od połowy kwietnia wzięliśmy się do sadzenia okopowizny. Obecnie roboty są już na ukończeniu. Oziminy wcześnie siane dobrze wyglądają, późne zaś, siane w październiku, są rzadkie. Brak teraz deszczu i dlatego oziminy i jarzyny powoli rosną. Koniczyna tegoroczna i zeszłoroczna słabo rośnie, a miejscami przepadła. — W przewodnią niedzielę oglądaliśmy w Brześciu w domu ludowym osobliwe widowisko. Przyjechała tu gromadka murzynów, i pokazywali wesele afrykańskie oraz różne sztuki: tańczyli po szkle i t. p. Było ich ośmioro: 6 mężczyzn i 2 kobiéty. Czarni są ci murzyni jak cholewa; kobiéty dość otyłe, mężczyźni okazali, ale nosy mają bardzo szerokie. Mieli na sobie krótkie ubranie, a na nogach trzewiki. Stali przed kościołem, gdy ludzie wychodzili po sumie, i rozdawali ogłoszenia drukowane po polsku. Przyglądaliśmy się im ciekawie, a oni uśmiechali się do nas, nie mogąc się rozmówić. Ale są tu ludzie, którzy byli w Ameryce i umieją po angielsku. Ci zbliżyli sie do murzynów i rozmawiali z nimi. *Czytelnik.*

Przedwczesna burza i spóźniony mróz. Nad okolicą Łowicza przeciągnęła dnia 27-go marca burza z grzmotami i silnym wiatrem. Od tego czasu znacznie się oziębiło i wicher nie ustawał przez całe dwa tygodnie, aż do dnia 11-go kwietnia. Mnóstwo drzew przy drogach nałamał i powywracał z korzeniami, a nawet budynki w paru miejscach przewrócił. Nocą na 12-ty kwietnia zaczął padać śnieg i chwycił mróz, który zrana dochodził do 8-miu stopni podług ciepłomierza Reomiura. Kto posadził przedtém ziemniaki, nie jest ich pewien. *Stach Wiejski.*

Z radością spoglądali gospodarze w okolicy Zamościa, w guberńji lubelskiéj, na piękną oziminę, gdy ją w marcu wczesne ciepło do życia pobudziło. Ale po ciepłych dniach wiosennych zaczęły się znowu przymrozki, a potém nastąpił zkoleji śnieg z deszczem i wicher, który narobił dużo szkody w lasach ordynacji Zamojskiéj. Rozpoczęte roboty w polu ustały, a piękna ozimina jakby zdrobniała i poczerwieniała od mrozu. Teraz Bogu dzięki nastąpiło już trwalsze ciepło. *E. K.*

Szlachetna zabawa. Coraz częściéj daje się słyszeć o urządzanych po wsiach przedstawieniach teatralnych i aż serce rośnie, że ludzie tak szlachetnie wieczory spędzają. Takie właśnie przedstawienie teatralne odbyło się we wsi Liskowie pod Kaliszem, w téj wsi, która może świecić przykładem całemu krajowi. W niedzielę 14 go kwietnia młodzież z dworów w okolicy przedstawiała w sali domu ludowego „Wiesława" i „Antkowe wesele". Sala była tak przepełniona, że nawet trudno było się przecisnąć. Przeszło trzy godziny ciągnęło się przedstawienie, a potém odbyła się ogólna zabawa. Dochód z opłaty za wejście został przeznaczony na straż ogniową ochotniczą i na inne cele dobroczynne. Wkrótce ma takie samo przedstawienie urządzić młodzież włościańska, która przygotowuje się już do tego pod kierunkiem ochroniarki ze wsi Strzałkowa. *W. K*

I z miasteczka Strykowa w stronach piotrkowskich piszą też do nas o przedstawieniu teatralném, które odbyło się tam w czasie świąt Wielkanocnych. Oto opis, któryśmy ztamtąd otrzymali:

W poniedziałek i wtorek wielkanocny staraniem nauczyciela tutejszego E. Skarbka odegrano w „domu ludowym" zabawną opowieść w jednéj odsłonie napisaną przez Zygmunta Przybylskiego pod nagłówkiem „Na przekór". Dochód z przedstawienia przeznaczony był na korzyść tegoż domu ludowego. Sala tak w pierwszym, jak i w drugim dniu była przepełniona, ale niestety, między widzami nie dało się zauważyć nikogo w wiejskiéj sukmanie. Dobrze jednak, że po wsiach i miasteczkach urządzane bywają takie rozrywki. Niejeden zamiast spędzać wieczory niedzielne lub świąteczne po karczmach lub piwiarniach przy kieliszku, kartach, lub na czczych rozmowach, pośpieszy do domu ludowego, gdzie za małą opłatą spędzi wieczór wesoło, nie ponosząc szkody na duszy. To też p. Skarbkowi oraz tym wszystkim, którzy brali udział w przedstawieniu, należy się staropolskie „Bóg zapłać".

Wacioszek.

Zielsko zamiast herbaty. Ludzie bez sumienia, którzy żyją cudzą krzywdą, wpadli na nowy pomysł okradania bliźnich. Oto chodzą po wsiach i sprzedają zachwalaną przez siebie niby herbatę, a właściwie liście jakiegoś chwastu, który nietylko ma smak wstrętny, ale co gorsza, jest pono szkodliwy, a może nawet trujący. Piszą do nas o tych oszustach z dwóch odległych od siebie okolic kraju. Oto wiadomość z pod Jedwabnego w powiecie koleńskim, guberńji łomżyńskiéj:

Przed paru tygodniami chodził tu jakiś kupiec z głębi Rossji z herbatą, którą bardzo zachwalał. Miał ją opakowaną w paczkach półfuntowych i funtowych. Ludzie chętnie kupowali zachwalaną herbatę, ale gdy się jéj napili, to się pochorowali. Powyrzucali potém wszyscy tę truciznę na śmietnik. Ostrzegam spółczytelników, żeby wiedzieli, jaki to uczciwy kupiec, i żeby nie kupowali owego paskudztwa, choćby je niewiedzieć jak zachwalał. *S. S.*

Jednocześnie z pod Łasku w guberńji piotrkowskiéj piszą do nas, co następuje:

Dnia 15-go kwietnia chodziło tu dwóch jakichś kupców z Rossji handlujących herbatą. Mówili, że zbankrutowali i wyprzedają pozostały towar. Mieli paczki herbaty różnéj wielkości. Sprzedawali je po 50 i po 25 kopiejek, choć zapewniali, że to kosztuje trzy razy drożéj, tylko oni tak tanio sprzedają, bo chcą się pozbyć towaru. Byli i u mnie i zachęcali do tak korzystnego kupna. A ja mówię: — Jeżeli wam idzie o pozbycie się towaru, to zapłacę za paczkę 10 kopiejek. — Zgodzili się i na taką cenę. — Oho, myślę sobie, gdyby to miała być prawdziwa herbata, to by nie sprzedali mi takiéj paczki za 10 kopiejek, bo by im kto inny dał o wiele więcéj. — Zaraz zrobiłem próbę, i tu się pokazało, że ta niby „herbata" niewarta była nawet 10-ciu groszy, bo trzeba ją było precz wylać. Były to liście jakiegoś chwastu, pokrajane i ususzone jak herbata. Tak to dzisiaj trzeba strzedz się oszustów na każdym kroku! Pewno ci oszuści będą i gdzieindziéj ludzi okpiwali. Śpieszę więc ostrzedz czytelników Gazety Świątecznéj, żeby się mieli na baczności. Szkoda dać takim wydrwigroszom choćby dziesiątkę. *J. M.*

Niektóre listy o zaćmieniu słońca. Otrzymaliśmy od czytelników z różnych stron kraju niemało listów, opisujących widziane przez nich we środę 17 kwietnia zaćmienie słońca. We wszystkich opis zjawiska jest jednakowy, zgodny z podanym w Gazecie z przeszłego tygodnia. To też podajemy tylko parę listów, w których jest coś nowego lub ciekawego.

Z nad Niemna, w guberńji grodzieńskiéj. Dnia 17 kwietnia oglądaliśmy tu niezwykłe zjawisko na niebie. Dzień był bardzo ciepły i pogoda jaskrawa, ani jedna chmurka nie zasłaniała błękitu. Naraz po południu blask słoneczny zaczyna blednąć. Patrzę na zegar: jest 40 minut na 2-gą. Natychmiast domyśliłem się, co to takiego. Chwyciłem szybkę, okopciłem nad dymem i spójrzałem na słońce. Widzę, że od dołu z boku, od strony letniego zachodu, nasuwa się na słońce jakaś plama półokrągła; jednocześnie ciepły i jasny dzień szarzeje, słońce przestaje grzać i świecić. Wkońcu zrobił się dobry zmrok. Zdaje się, że cały świat zaczynał pomału zamierać, albo jakby czarny dym go obciągnął. Patrzę znów na słońce i widzę, że prawie całe już jest zasłonięte, tylko mały jego

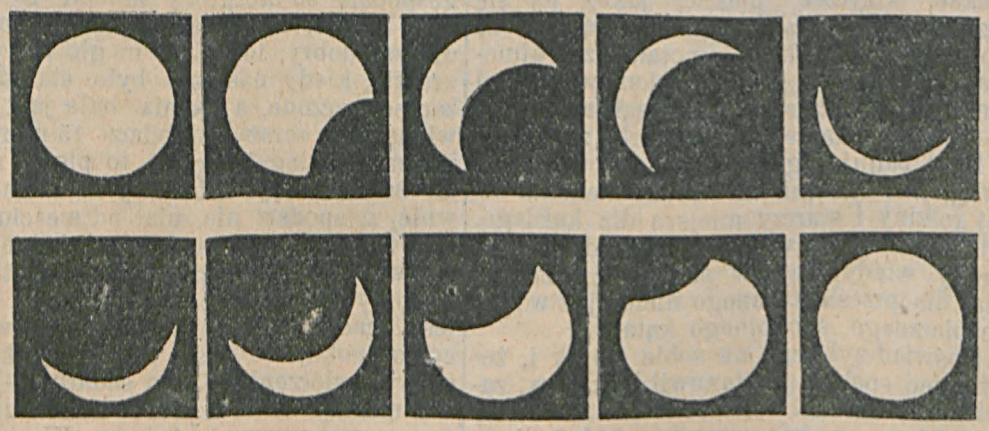

Przebieg zaćmienia słońca w Warszawie w dniu 17-ym kwietnia. Najprzód słońce świeciło całe, jak widać na pierwszym obrazku u góry. Potém od prawego dolnego brzegu zaczął je zasłaniać księżyc, aż pozostał ze słońca tylko sierp obrócony końcami na prawo i nieco na dół. Następnie górny koniec sierpa nikł stopniowo zakrywany przez księżyc, a tymczasem odsłaniał się dolny rąbek słońca. Więc wkrótce utworzył się sierp obrócony końcami do góry. Odtąd księżyc zaczął odsłaniać słońce coraz bardziéj, przesuwając się w lewo ku górze, aż odsłonił je zupełnie.

rąbek od południowéj strony cokolwiek świeci tak, jak księżyc w pierwszych dniach nowiu. Potém sierp pomału zaczął się dolnym końcem podnosić do góry, a górnym końcem opuszczać na dół, i zaczęło się robić jaśniéj i cieplej. Przed 4-tą godziną ciemna plama znikła zupełnie ze słońca; dzień nastał, jak przedtém, ciepły i jasny, i trwał już do zachodu słońca. — I cóż to się stało? — zapytuje mnie jeden z sąsiadów. — A no, zobaczcie, — mówię, i dałem mu szybkę do rąk. Patrzy na słońce i mówi, że jakaś czarna plama jest na niém. — A wiecie, co to jest? — pytam. — Oto księżyc stanął na jednéj linji ze słońcem i ziemią i zasłania nam sobą słońce; od tego zrobiło się tak ciemno. — Ale sąsiad nie chciał mi wierzyć.— Ba! powiadam, — gdyby wam opowiedzieć jaką bajkę, że tam naprzykład za dziewiątą miedzą kość leży i gdy tą kością na bolącém miejscu nakreślić jakie znaki, to przestanie boleć, albo gdyby mówić o jakim znachorze, tobyście uwierzyli; ale jak powiedzieć co prawdziwego, to nie chcecie wierzyć! — Tacy to są jeszcze ludzie ciemni i uparci w swéj ciemnocie. *S. M.*

Z Petersburga. W kalendarzach tegorocznych było zapowiedziane, że dnia 17-go kwietnia będzie częściowe zaćmienie słońca, widzialne dobrze w północnéj części Europy. Otóż będąc na służbie wojskowéj w Petersburgu, z niecierpliwością czekałem dnia, w którym tak ciekawe a rzadkie zjawisko miało się odbyć. Na kilka dni przed zaćmieniem polecono mi z kilku innymi żołnierzami pojechać w sprawie służby parę mil za Petersburg. Ucieszyłem się z tego, bo za miastem powietrze jest czystsze, nie zaćmione dymem z kominów fabrycznych. Dzień 17-ty kwietnia był od rana dość jasny i pogodny; nie zasłaniała słońca żadna chmura. Po południu, kiedy na petersburskich zegarach była godzina druga, zauważyłem, iż z prawéj strony, to jest od zachodu, zachodzi na słońce czarna plama. Zasłaniała ona stopniowo słońce coraz bardziéj, aż zostawiła widzialną tylko wschodnią i górną jego część. Wkrótce czarna plama przesunęła się jeszcze daléj i pozostał widzialny tylko rąbek górnéj części słońca. Słońce wyglądało tak, jak księżyc w parę dni po nowiu. Na ziemi zrobiło się ciemnawo, wierzchołkami drzew poruszył wiatr chłodny, powietrze oziębiło się cokolwiek, a ptactwo zaczęło szukać schronienia, jak to czyni zwykle po zachodzie słońca, o zmierzchu. Wkrótce plama na słońcu przesunęła się na lewą jego stronę i widać było sierp słońca z prawéj strony. Powoli czarna plama przesuwała się coraz daléj na wschód, odkrywając coraz bardziéj słońce. Na świecie robiło się coraz widniéj, aż plama zeszła zupełnie i słońce znów zrobiło się jasne i ciepłe, jak przedtém. Cały przeciąg zaćmienia trwał przeszło godzinę. Ludzie tutejsi, jak również i nasi niektórzy wyprowadzają z tego zaćmienia różne jakieś przepowiednie. Mówią, że spadnie jakieś nieszczęście na ziemię, wojna, głód, lub coś podobnego. A przecie to tylko księżyc krążąc koło ziemi przeszedł wprost przed słońcem i zasłonił nam jego widok. *A. W.*

(W Petersburgu widać było podczas zaćmienia nie dolny, jak u nas, ale górny rąbek słońca dlatego, że to miasto znajdowało się po drugiéj stronie cienia księżycowego, o którym przeczytaj daléj w dzisiejszéj Gazecie. Niedaleko od Petersburga, w stronie południowéj, było zaćmienie obrączkowe; księżyc zasłonił sobą środek słońca, pozostawiając widomy wązki jego rąbek dookoła.)

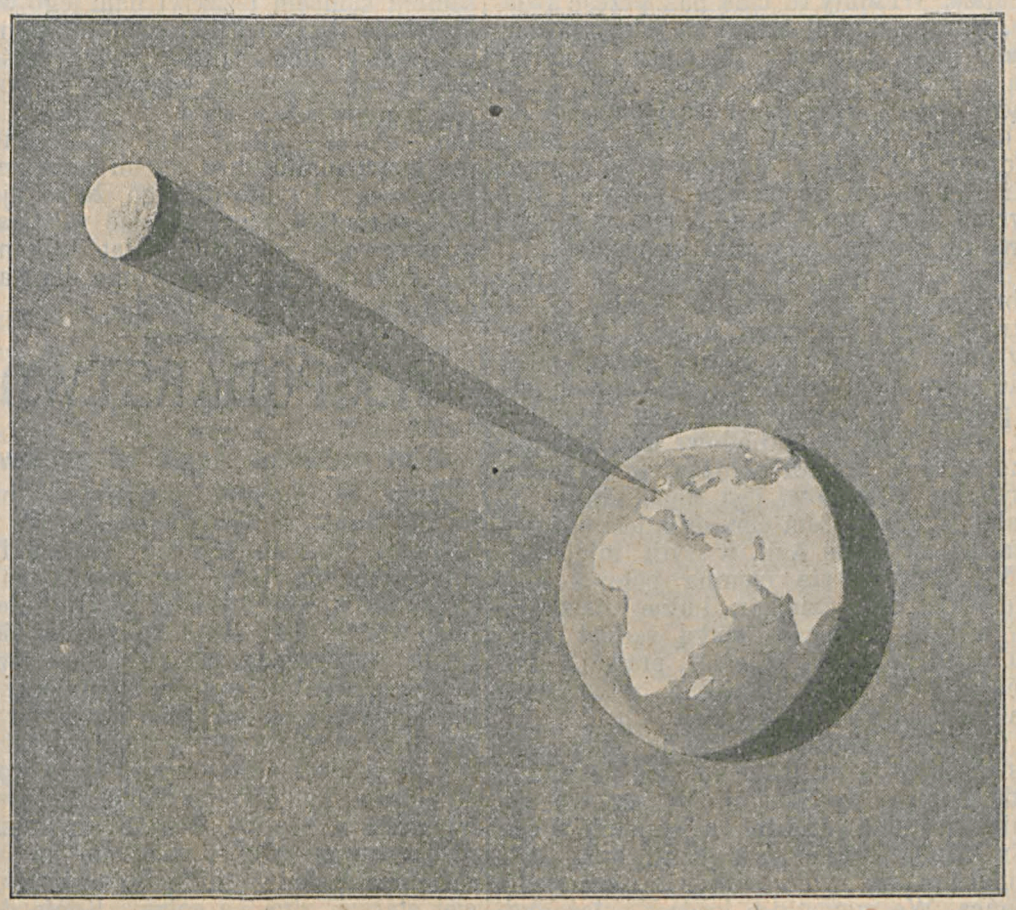

Ziemia i księżyc w czasie zaćmienia słońca.

Mamy tu ciekawy obrazek. Jest to widok ziemi i księżyca podczas zaćmienia słońca. Położenie takie było we środę, 17-go kwietnia. Po prawéj stronie obrazka widzimy narysowaną gałę ziemską, a po lewéj od góry znacznie od niéj mniejszy księżyc. Jest on narysowany za blizko od ziemi. Przy téj wielkości ziemi i księżyca powinny one być oddalone od siebie piętnaście razy daléj, niż na tym obrazku. Słońca tu niéma; zbyt daleko i zbyt wielkie wypadłoby narysować. Trzebaby je umieścić 400 razy daléj, niż księżyc od ziemi; żeby zaś wyobrazić jego wielkość, wypadłoby nakreślić koło mające 12 łokci średnicy. Było to niemożliwe, więc też nakreślono tylko kierunek promieni słonecznych. Padają one na księżyc i ziemię od lewéj strony.

Lewa połowa księżyca obrócona jest do słońca i oświetlona jasno jego promieniami. Za to prawa, dolna połowa pogrążona jest w cieniu, który księżyc rzuca za siebie. Ponieważ księżyc obrócony jest do ziemi wprost tą ciemną swoją połową, więc go z ziemi wcale nie widać. Takie położenie księżyca nazywamy nowiem. Nów zdarza się często. W ciągu czterech tygodni księżyc obiega ziemię raz jeden dookoła i co cztery tygodnie znajduje się w podobném położeniu, jak tu na obrazku, to jest pomiędzy ziemią a słońcem. Wtedy zawsze jest nów.

Najczęściéj jednak księżyc, będąc na nowiu, przechodzi nie przed samém słońcem, ale nieco górą lub dołem, więc cień od niego, mający kształt stożka, omija ziemię, nie pada na nią wcale. Nie widzimy wtedy nic nadzwyczajnego. Ale zdarza się, że księżyc na nowiu przesuwa się wprost przed samém słońcem; wtedy koniec jego cienia przelatuje szybko po ziemi i w tych miejscach, przez które przechodzi, księżyc zasłania sobą na kilka chwil widok słońca; mieszkańcy tych okolic mają wtedy całkowite czyli zupełne zaćmienie słońca.

Na obrazku ziemi widać zarysy lądów i mórz; lądy są białe, a morza nieco ciem-

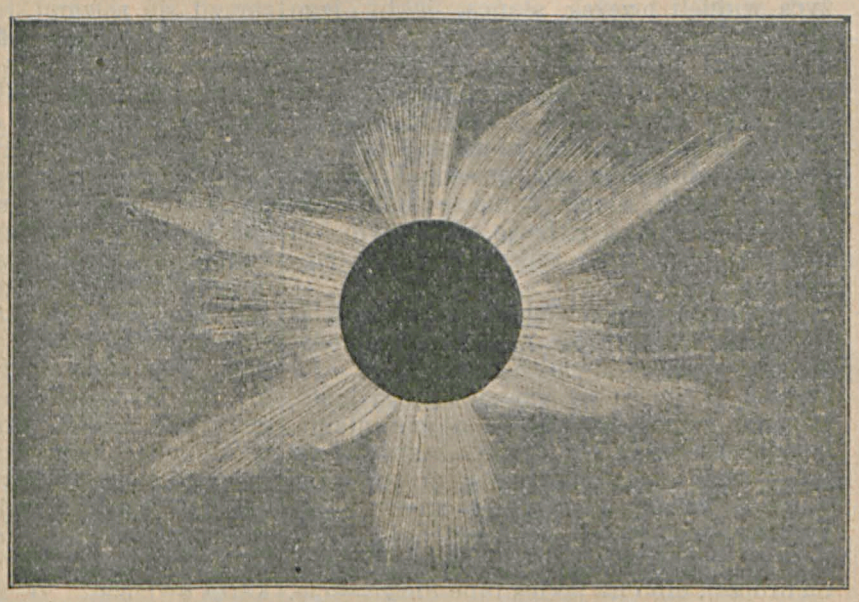

Tak wygląda zupełne czyli **całkowite zaćmienie słońca.** Z poza ciemnego księżyca nie widać słońca wcale. Księżyc zakrywa je sobą, jakby czarna okrągła plama. Za to można oglądać tak zwaną „koronę" słońca, jakby jakieś płomienie, które wystrzelają z niego we wszystkie strony. W zwykłym czasie płomieni tych dojrzeć niemożna, bo są zupełnie przyćmione przez jaskrawy blask słońca.

niejsze. Widzimy tu całą naszą część świata, Europę, któréj brzegi są jakby poszarpane przez otaczające ją morza, widzimy całą Afrykę, i znaczną część Azji, która łączy się z Europą, i sąsiednie morza i oceany. Porównaj ten obraz z mapą Europy i Afryki w Gazecie 1628 i znajdź na nim morze Śródziemne, Czarne i Baltyckie; koło morza Baltyckiego, w samym środku Europy, leży nasz kraj polski.

Lewa połowa gały ziemskiéj na tymże obrazku jest obrócona do słońca. Z téj strony ziemi jest dzień, a raczéj różne pory dnia. Na zachodzie Europy, dokąd właśnie sięga cień księżyca, oraz na południu i północy od tego miejsca jest południe; w lewo, czyli ku zachodowi jest przedpołudnie, a w krajach położonych na prawo, czyli ku wschodowi jest popołudnie. Im daléj w prawo, tém pora dnia jest późniejsza, aż na lądzie Azji, w tych miejscach, gdzie zaczyna się ciemna połowy gały ziemskiéj, jest wieczór; ludzie mieszkający w tych miejscach widzą zachód słońca. Jeszcze daléj, na całéj prawéj i tylnéj połowie gały ziemskiéj, odwróconéj całkiem od słońca, jest noc.

Obrazek przedstawia chwilę, gdy cień księżyca pada na jakąś okolicę na zachodzie Europy, we Francji. W tém właśnie miejscu ludzie pogrążeni są zupełnie w cieniu księżyca, księżyc zasłonił sobą całe słońce; mają więc całkowite zaćmienie słońca. We wszystkich krajach położonych naokoło tego miejsca jest częściowe zaćmienie, bo księżyc zakrywa ludziom tylko jakąś część słońca, albo górną, albo dolną, albo prawą czy lewą. Zależy to od tego, z któréj strony cienia wypadło patrzeć na księżyc i słońce.

W dniu 17-tym kwietnia księżyc będąc na nowiu przesunął się pod samém słońcem, a koniec jego cienia przebiegł niezmiernie szybko po ziemi od zimowego zachodu ku letniemu wschodowi. Cień ten na ziemi miał zaledwo parę wiorst szerokości. Przeleciał on po części Ameryki Południowéj, po oceanie Atlantyckim i po zachodniéj Europie, a ponieważ ziemia jest okrągła, więc sunąc daléj, ponad Europą środkową i wschodnią, oraz nad Azją, do ziemi już nie dosięgał, lecz kończył się wysoko nad nią. Ludzie mieszkający w tych okolicach, nad któremi przesunął się koniec owego cienia, mieli zaćmienie słońca obrączkowe; księżyc nie zakrył im całego słońca, lecz tylko jego środek, tak, że dookoła księżyca widzieli brzeżek słońca, jakby jego obręcz. Tym sposobem ostatnie zaćmienie słońca było widzialne w niektórych miejscach na ziemi jako całkowite, w innych jako obrączkowe, a wszędzie naokoło jako częściowe. Parowiorstowy pas zaćmienia obrączkowego przesunął się od Francji przez Niemcy, morze Baltyckie, północną Rossję i Syberję. W całym zaś naszym kraju było tylko zaćmienie częściowe.

Zaćmienie słońca zaciekawia ludzi światlejszych, jako piękne zjawisko przyrody, ale ciemnych zadziwia, bo nie mogą zrozumieć, jakim to sposobem w dzień biały, gdy ani jednéj chmurki na niebie niéma, słońce zaciemnia się nagle, zakrywa się jakąś czarną, okrągłą plamą. A ponieważ ludzie z każdéj niezwykłéj rzeczy lubią wyprowadzać jakieś przepowiednie, więc i teraz niektórzy bają, że to na wojnę, albo na urodzaj, albo na jakieś inne nieszczęście, czy szczęście. Tymczasem zaćmienie słońca jest tylko ciekawém zjawiskiem przyrody, lecz nie przedstawia nic nadzwyczajnego, nie ma żadnego znaczenia dla spraw ludzkich. Znaczy ono tylko tyle, że księżyc, będący na nowiu, przesunął się przed samém słońcem i zakrył nam jego widok. Podobnie drzewo może zasłonić nam widok wieży, albo chałupa widok kościoła. Gdyby też zaćmienia zdarzały się często, jak naprzykład wschód i zachód słońca, toby nikt się niemi tyle nie zajmował, nie przyglądalibyśmy się im z taką ciekawością. I tylko dlatego, że to zjawisko jest rzadkie, przytrafia się w téj saméj miejscowości zaledwie co lat kilkanaście lub kilkadziesiąt, stanowi ono dla naszych oczu tak niezwykły widok. *T. P.*

GOSPODARSTWO.

Jak ratować konie od zołzów.

Zołzy są chorobą zaraźliwą. Chorują na nią konie w każdym wieku, ale starszym nie daje się ona tak we znaki, jak młodszym; najciężéj zaś chorują na zołzy konie w wieku do lat pięciu. Zołzów lekceważyć niemożna, bo zdarza się, że konie nieratowane, lub ratowane nieumiejętnie, szczególniéj młode — pomiędzy drugim a piątym rokiem życia, zdychają na zołzy. Koniom starszym nie grozi już tak bardzo niebezpieczeństwo utraty życia z powodu zołzów. Tylko konie chude, źle żywione, trzymane w brudzie, w stajniach dusznych, nieprzewietrzanych, i narażone na ciągłe zaziębianie się, — takie tylko konie, nawet starsze, giną na zołzy. Konie dobrze odżywiane, trzymane w stajniach widnych, obszernych, choćby nawet zapadły na zołzy, przejdą tę chorobę lekko i niebezpieczeństwa śmierci dla nich niéma.

Aby konie nie zapadały na zołzy, należy je przedewszystkiém strzedz od stykania się z końmi już choremi, a najbardziéj od zetknięcia się ze śluzem nosowym lub ropą cieknącą z wrzodów chorych koni. Dlatego nie powinniśmy pozwalać koniom chorym i zdrowym obwąchiwać się. Niemożna też koni zdrowych i chorych paść przy spólnych żłobach, pojić z tych samych kubłów i t. d. Co więcéj, nie powinniśmy pozwalać zbliżać się do naszych zdrowych koni ludziom stykającym się z końmi zołzującemi. Zwracać też trzeba wielką uwagę na paszę, bo trafia się, że konie dostają zołzów od karmy, od starego, zakurzonego, niezdrowego siana, gdyż przyczyną téj choroby jest maleńki grzybek, który bardzo łatwo wszędzie wnika.

Jeżeli nie zdołaliśmy ustrzedz konia i zaraził się zołzami, to choroba ta występuje w przeciągu 8 dni. Pierwsze objawy zołzów są następujące: kaszel, gorączka i brak ochoty do jadła. Po kilku dniach zaczyna koniowi z obu nozdrzy ciec ropa, i gruczoły w sankach (tak zwane limfatyczne) zaczynają puchnąć tak, że można je wyczuć ręką (u koni zdrowych są one zaledwie widoczne); gruczoły te bolą konia. Wkrótce gorączka się zwiększa i obrzmiałe gruczoły zaczynają wydzielać nazewnątrz ropę, to jest zamieniają się we wrzody, dojrzewające w pięć do dziesięciu dni. Zazwyczaj obrzmiewa kilka gruczołów limfatycznych. Jeżeli obrzmiewają gruczoły koło krtani, wtedy przełykanie jest utrudnione. Gdy zaś zołzy dostaną się do gruczołów limfatycznych jamy brzusznéj lub klatki piersiowéj i tam utworzą wrzody, to leczenie jest już bardzo trudne, i należy koniecznie wezwać uczonego lekarza zwierząt. W zwykłych warunkach po wydzieleniu ropy następuje w osiem do dziesięciu dni wyleczenie, a w cięższych — w trzy do czterech tygodni.

Leczenie zołz. O ile jeszcze konie mają chęć do jadła, to, żeby prędzéj wydzielały śluz, dodaje im się do karmy następującéj mieszaniny trzy razy dziennie po łyżce stołowéj:

Soli kuchennéj	120	gramów (9 i pół łuta)
Proszku z kopru	40	„
Proszku ślazowego	40	„
Proszku z korzenia lukrecji	50	„
Antyminu	50	„

Ponieważ w aptece wszystkie te rzeczy są drogie, więc można je kupić w składzie aptecznym i samemu zmieszać; a soli kuchennéj można wziąć trochę więcéj ponad przepis. Żeby ustrzedz gardło i sanki od zaziębienia, należy je szczelnie obwiązać płótnem albo starym workiem, ale w ten sposób, żeby nie przeszkadzał koniowi jeść (najlepiéj okład pozapinać szpilkami zamykanemi, „agrafkami“, lub zeszyć). Wrzody do czasu, aż pękną, nacierać codzień ciepłym świńskim smalcem. Gdyby wrzody były bardzo duże, nacierać je cztery albo pięć razy dziennie doskonale zmieszanemi 2-ma częściami oleju lnianego czystego i 1 częścią amonjaku.

Dla szybszego dojrzenia wrzodów dobrze jest robić ciepłe okłady z kartofli, siemienia lnianego i t. p., włożonych do woreczka i założonych pod opaskę na sanki. Okłady trzeba często zmieniać, bo zimne więcéj szkodzą, niż pomagają. Gdy wrzody dojrzały i zmiękły, dobrze jest otworzyć je ostrym nożem wygotowanym w wodzie. Ręce do téj roboty powinny być bardzo czyste, a wrzód przed przecięciem trzeba zwierzchu obmyć ciepłą wodą z mydłem. Po przecięciu rany na długość mniéj-więcéj jednego cala, można ją nacisnąć, — ale bardzo słabo, — żeby ropa wypłynęła. Kupić też zawczasu okrągłą gumową szpryckę i przeszprycować *letnim* roztworem jednéj części kwasu karbolowego, kreoliny, lub lizolu na 500 części przegotowanéj i odstałéj czystéj wody. Jeżeli nie będziemy regularnie przemywać ran, to albo może dostać się do nich brud, i konie zdechną na zakażenie krwi, albo wyrośnie na miejscu wrzodu dzikie mięso, które bardzo trudno wyleczyć.

Przy katarze bardzo dobrze jest robić koniom „inhalację“ czyli wdychanie parą; obwiązuje się koniowi łeb workiem *bez dna*, żeby para nie uciekała, tylko prosto szła mu do nozdrzy, zbiera się prószu (paprochów) z ładnego, za pogody zebranego siana (mniéj-więcéj ćwierć kubła), nalewa gorącéj wody (pół kubła), stawia pod worek i żeby zrobić jak najwięcéj pary, wrzuca się do tego kubła od czasu do czasu upalone w ogniu kamienie lub cegły. Koń czując miły zapach siana, wdycha parę pełnemi nozdrzami. Zamiast siana można wlać do kubła 20 do 30-tu gramów (półtora do półtrzecia łuta) lizolu, kreoliny lub kwasu karbolowego. Chorym koniom należy dawać dobre, zdrowe siano, potrochu owsa całego lub gniecionego, klejiste ciepłe pójło, jak letnią wodę z otrębami żytniemi lub pszennemi, i dobrą karmę zieloną.

Gdy konie zaczynają już powracać do zdrowia, to w czasie pogody trzeba je wypędzać na pastwisko, gdyż pochylanie głowy przy jedzeniu dopomaga do wypływu śluzu z nosa. Jeżeli konie stoją w stajni, trzeba ją starannie przewietrzać.

Do lekkiéj roboty można brać nawet konie chore, ale tylko wtedy, gdy mają ochotę do jadła i gdy jest pogoda. Gdy koń straci chęć do jadła, nie należy go wcale brać do roboty, lecz albo go trzymać w ciepłéj, ale nie gorącéj lub dusznéj stajni, albo w czasie pogody na pastwisku; jeżeli zaś deszcze padają, na dworze zimno, i jest obawa, że koń może się zaziębić, to ani chore, ani powracające do zdrowia konie nie powinny być nigdzie z ciepłéj stajni wyprowadzane. Dopóki

koń ma chęć do jadła, leczenie jest łatwe. Gdy koń już ochotę do jadła straci, a przytém pokaże się duża gorączka, to lepiéj odżałować parę rubli i przywieźć lekarza zwierząt, bo koń może się łatwo zmarnować. *J. Lenc.*

Uprawiajmy warzywa!

Ledwieśmy zdjęli zimowe kożuchy, ledwo nam zaświeciło słonko wiosenne, a już czas myśleć o następnéj zimie, czas myśleć o tém, co będziemy na jesieni zbierali, co chowali do piwnic i składzików, żeby łatwiéj było długą zimę przeżyć. Naogół gospodynie nasze za mało myślą o ogrodzie warzywnym, za mało dbają o to, żeby mieć dostateczny zapas warzyw na całe lato i zimę. Żeby choć trocha urozmaicić sobie pożywienie, żeby nie codzień jeść same kartofle i kapustę, — trzeba koniecznie mieć dużo różnych warzyw. Nietrzeba na to zbyt wiele ziemi. Na kilku zagonach koło domu można mieć sporo wszystkiego, tylko trzeba dbać o to. Ot i teraz czas o tém myśleć, — skopać ogród, wynawozić go trocha, oczyścić z pérzu i zasiać buraków ćwikłowych, fasoli piechoty, grochu cukrowego, marchwi, pietruszki, szpinaku, rzodkiewki, sałaty; późniéj kupić rozsady pomidorów, kapusty, brukwi, kalarepy, i zasadzić je na lepszéj ziemi; wreszcie w maju po ostatnich przymrozkach zasiać ogórki.

Zobaczycie, jak to łatwo będzie obiad ugotować, gdy to wszystko powyrasta. Wpadniecie do ogródka, narwiecie sałaty, opłuczecie ją raz i drugi w czystéj wodzie, potém oblejecie paru łyżkami śmietany, posolicie, dodacie parę kropli octu, a dla chorych lub dla dzieci zostawicie część bez octu, — do tego dacie gorące kartofle, i już będzie obiad smaczny i zdrowy. Drugiego dnia ugotujecie marchwi. Aby była dobra, trzeba ją pokrajać w kostkę, włożyć do rądelka kawałek tłustéj wieprzowiny, boczku lub żeber, na to wsypać marchew, posolić, podlać trochą wody, przystawić do ognia, przykryć, i tak niech się dusi do miękkości. Gdy się woda wygotuje, to potrochu dolewać; gdy marchew miękka, zasmażyć osobno trochę smalcu lub słoniny, wsypać do sosu od marchwi łyżkę mąki, i razem wszystko dobrze wymieszać, i znów będzie smaczna i zdrowa potrawa. Trzeciego dnia ugotujecie buraków; można z nich zrobić polewkę, albo też jeść je na gęsto. Polewka ze świeżych młodziutkich buraczków nazywa się „boćwiną", a przyrządza się tak: Wyrwijcie wiązkę buraczków, wybierając z tych miejsc, gdzie za gęsto wyrosły. Narwijcie też garść szczawiu. Wszystko to opłuczcie i pokrajcie drobno: liście buraków, łodygi, korzonki, wszystko. Włóżcie to do rądelka, posólcie, podlejcie trochą wody, i niech się dusi; osobno ugotujcie smak; parę kwart wody, parę marchwi, pietruszkę, cébulę, trochę pieprzu, soli, a gdy kto ma, to kawałek mięsa, lub kostek. Gdy to wszystko gotowe, wlejcie na miskę parę łyżek śmietany surowéj, na to wyłóżcie boćwinę i rozbierzcie smakiem, jak kto lubi, gęściéj czy rzadziéj; do tego podajcie kartofli lub kaszy gryczanéj ugotowanéj na gęsto, i będzie doskonały obiad. A rzodkiewka, gdy się sprzykrzy na surowo, może też być na gorąco; trzeba ją ugotować w osolonéj wodzie, okrasić roztopioném masłem i też dobrze smakuje. A pomidory — jakie to wyborne jedzenie! Niektórzy zrywają je i jedzą prosto z krzaka jak jabłka, bo to i soczyste i kwaskowate. Uduszone w rądelku bez wody i rozprowadzone rosołem stanowią smaczną polewkę, do któréj włożyć ugotowanego osobno ryżu, lub kaszki. Można z nich też robić sałatę: pokrajać w talarki, dodać cébuli też w talarki pokrajanéj, soli, pieprzu, octu, lub łyżkę śmietany z octem wymieszanéj; jedząc tę sałatę z chlebem można się doskonale nasycić. *P. Restorfowa.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Listy do Gazety Świątecznéj.

Z parafji Rokitna w powiecie błońskim, guberńji warszawskiéj.

Założenie kościoła. — Dokończenie budowy i odnowa. — Inne porządki. — Wybrukowanie drogi.

Czytam Gazetę Świąteczną od lat 28-miu i znajduję w niéj nieraz opisy kościołów, ale o naszym kochanym kościele w Rokitnie nikt dotąd nie pisał, chociaż on nie mniéj od innych na to zasługuje. Bolało mię to pomijanie naszego kościoła, aż postanowiłem wreszcie sam o nim napisać.

Fundatorem naszego kościoła — pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszéj Maryji Panny — był ksiądz Święcicki, arcybiskup Gnieźnieński. Plan i kosztorys sporządził Włoch Belloti. Budowę rozpoczęto w r. 1683, ale widocznie nie było za co jéj dokończyć, bo kościół stał aż 200 lat bez wież i nieotynkowany. Jest on ogromny, wysoki, w kształcie krzyża, o trzech nawach. Ołtarzy jest obecnie siedem, ale pierwotnie były tylko trzy — wielki i dwa boczne w ramionach krzyża. Te trzy są ogromne. W głównym ołtarzu jest cudowny obraz Matki Boskiéj, która się tu, według podania, objawiła. Jak pamięcią sięgnę, a mam lat 70, kościół ten stał niewykończony, nieotynkowany, z dachem przeciekającym, w wielu miejscach słomą pokrytym. Okna były powybijane, zgniłe, tak, że sowy i inne ptactwo do środka się dostawało i zanieczyszczało kościół.

W roku 1880 zesłał nam Bóg księdza Władysława Sędziakowskiego, — obecnie kanonika kolegjaty Łowickiéj, — który dotychczas, od 32 lat, rządzi naszą parafją. Ksiądz Sędziakowski nie zrażając się wielką pracą, która go czekała, i ubóstwem parafji, mającéj wówczas niecałe trzy tysiące dusz, wyjednał u władzy pozwolenie na zbieranie składek w kilku guberńjach Królestwa Polskiego, a część kosztów rozłożył na parafjan, którzy chętnie z ofiarami pośpieszyli. Budowniczy Wojciechowski z Warszawy sporządził kosztorys na dokończenie kościoła na 45 tysięcy rubli. My, parafjanie, obowiązkowéj składki od morga daliśmy 20 tysięcy, a reszta napłynęła z dobrowolnych ofiar i z pieniędzy zebranych na tackę. Parafjanie zdali cały dozór nad budową na księdza, który od rana do wieczora chodził po rusztowaniach, pilnował rzemieślników, żeby dobrze robili, bo znał się na robocie, a wieczorem załatwiał sprawy w kancelarji parafjalnéj. Był młody, więc sobie dawał radę. W pierwszym roku, gdy napłynęło trocha grosza, zbudował wieże z kamienia ciosanego, sprowadzonego ze stron kieleckich, i pokrył je blachą miedzianą. Na wieżach założył piorunochrony. W drugim roku zrzucił cały stary dach, bo już belki, krokwie i wogóle wszystko drzewo zbutwiało, i dał nowy, kryty czerwoną dachówką. W trzecim roku kościół został otynkowany. W następnych latach odnowiono go gruntownie w środku: ściany, sklepienie, ołtarze, kazalnica zostały doprowadzone do takiego porządku, że dziś kościoła naszego nie powstydziłaby się nawet Warszawa. Organy sprawiono nowe za 6 tysięcy rubli. Mamy i dolny kościół, taki jak u Św. Krzyża w Warszawie. Był on zasypany ziemią; dopiero gdy wypadło układać podłogę, a okazało się, że pale pogniły, został wymurowany i zasklepiony. Do dolnego kościoła sprowadzono Stacje Męki Pańskiéj za 1200 rubli aż z miasta Monachjum w Bawarji. Ksiądz kanonik od przybycia do nas nie spoczął, co rok coś zrobił. Zbudował piękny dom murowany dla służby kościelnéj, nie szczędząc na to i swego grosza. Wszystkie budynki gospodarcze, plebańję, cmentarz przy kościele i grzebalny doprowadził do porządku, oparkanił, słowem, na co się spójrzy, na wszystkiém znać jego rękę. W tym roku wykończa dzwonnicę.

Nadmienić jeszcze muszę o drodze wiodącéj z Rokitna do fabryki cukru w Józefowie, która staraniem księdza kanonika została wybrukowana. Droga ta, około 3 wiorst długa, przechodzi przez łąki torfiaste i lasek olszowy. W jesieni i w czasie roztopów wiosennych ludziska na niéj, bywało, konie zabijali, a robotnicy z fabryki nie mogli dostać się do kościoła. Bolało to naszego księdza, więc zakrzątnął się, aby to naprawić: sprowadził kamienie, wyjednał w fabryce niewielki zasiłek, resztę sam dołożył, dozorował robotników, my, włościanie, daliśmy robociznę — i droga, choć powoli, została naprawiona i jest już prawie wykończona. Z bólem serca wyznać muszę, że właściciel 3-ch folwarków, który dziś tą drogą setki wozów z burakami wysyła, wozi codzień mléko do Warszawy i sprowadza wytłoki, nie chciał przyłożyć ręki do jéj zbudowania. *Szczepan K.*

Nowinki telegraficzne.

Z Petersburga. *D. 23.* Wczoraj, w poniedziałek, rozpoczęły się na nowo po przerwie świątecznéj posiedzenia i narady sejmu w Petersburgu. Zaraz nazajutrz, to jest we wtorek sejm uchwalił zwrócić się do rządu o wyjaśnienie w sprawie krwawego zajścia, które było w dniu 17-ym kwietnia w kopalniach złota na Syberji. Kopalnie te znajdują się nad rzeką Leną o 250 mil od miasta Irkucka, zkąd dojeżdża się tam drogą wodną po rzece Lenie, albo drogą zwyczajną. Miejscowość ta jest prawie bezludna i zupełnie nieurodzajna z powodu ciężkich mrozów i bardzo długiéj zimy. Mieszkają tam tylko robotnicy, sprowadzeni zdaleka do tych kopalń, i urzędnicy pracujący w kopalniach. Robotników jest około siedmiu tysięcy. Mieszkań, żywności i wszystkiego co potrzeba dostarcza im zarząd kopalń, bo na miejscu prawie nic dostać niemożna i wszystko trzeba sprowadzać z dalekich stron. Kopalnie są własnością jakiéjś spółki przemysłowców. W marcu robotnicy porzucili tam robotę domagając się różnych zmian i polepszenia ich doli. Bezrobocie trwało spokojnie kilka tygodni, aż wkońcu przysłano do kopalń rotmistrza żandarmów Tereszczenkę z trzystu żołnierzami. Niezadługo po ich przybyciu uwięziono w nocy 10-ciu robotników, którzy byli przywódcami bezrobocia. Wywołało to wśród robotników wielkie wzburzenie, które jeszcze bardziéj się powiększyło, gdy im nazajutrz rano, 17-go kwietnia, ogłoszono, że mają wynosić się z mieszkań i nie dostaną wcale żywności ze składów kopalnianych. Zgromadził się tłum robotników złożony z kilku tysięcy ludzi i poszedł układać się z zarządem kopalń. Co tam wtedy zaszło, niéma o tém zupełnie pewnych wiadomości, dość, że nagle wyprowadzono naprzeciw tłumu setkę żołnierzy i kazano im strzelać. Podług wiadomości urzędowych padło 107 robotników zabitych i 294 ranionych; z pośród ranionych zmarło następnie 84. Krwawe to zajście poru-

szyło całą Rossję, a rząd postanowił wszcząć śledztwo, aby dojść, kto winien.

Wojna Włochów z Turkami.

Po długiém namyślaniu się, Włosi postanowili nareszcie pokazać Turkom, co potrafią, i we czwartek 18-go kwietnia urządzili strzelanie z armat do fortów tureckich, strzegących wejścia z morza Greckiego do przepływu morskiego zwanego cieśniną Dardanelską. Zanim przeczytasz, czytelniku, dalsze o tém wiadomości, rozłóż przed sobą mapę Europy, choćby narysowaną w Gazecie 1628, aby wiedzieć, gdzie ta cieśnina Dardanelska się znajduje. Znajdź najprzód na mapce rzekę Wisłę i stolicę naszego kraju, Warszawę, potém zobacz, gdzie są Włochy, i Trypolis, i gdzie Turcja. Łatwo też odnajdziesz morze Czarne. Przypatrz się, w jaki sposób łączy się ono z morzem Śródziemném. Najprzód z morza Czarnego wypływa niby szeroka lecz krótka rzeka. Jest to przepływ morski zwany cieśniną Bosfor. Południowy koniec téj cieśniny, nad którym leży Konstantynopol, stolica Turcji, rozszerza się tak, że tworzy się pomiędzy lądami nieduże morze; nazywają je Marmora albo Marmurowe. Na południowo-zachodnim końcu tego morza lądy znów zbliżają się ku sobie i tworzą drugą cieśninę, bardzo wązką, która stanowi przepływ morski z morza Marmurowego do morza Greckiego. Morze Greckie jest częścią Śródziemnego; znajduje się ono pomiędzy brzegami Grecji, Macedońji i Turcji azjatyckiéj; usiane jest licznemi wyspami, a od południa zagrodzone dużą, długą wyspą, zwaną Kreta. Otóż przepływ, który łączy morze Marmurowe z Greckiém nazywa się cieśniną Dardanelską, albo krócéj Dardanelami. Przepływ ten jest bardzo wązki; u samego wejścia z morza Greckiego ma niecałe 4 wiorsty szerokości, a daléj zwęża się nawet do półtoréj wiorsty. Stanowi on drogę z morza Śródziemnego do Konstantynopola. To też Turcy na obu brzegach téj cieśniny pobudowali silne warownie, aby nie przepuścić przez nią okrętów nieprzyjacielskich, gdyby w czasie wojny chciały dopłynąć z morza Śródziemnego pod Konstantynopol. Tędy też prowadzi droga dla okrętów kupieckich, które chodzą z morza Czarnego na Śródziemne, lub odwrotnie. Droga ta jest ważna szczególniéj dla okrętów rossyjskich, bo tylko tędy mogą one wychodzić z morza Czarnego w świat szeroki.

Konstantynopol, d. 22. We czwartek rano 18-go kwietnia zjawiła się nagle na morzu Greckiém, niedaleko od wejścia do cieśniny Dardanelskiéj, gromada okrętów wojennych włoskich. Były między niemi 4 wielkie okręty pancerne, 20 buchadłowców i 3 okręty służące do przewozu wojska. Okręty ustawiły się naprzeciwko wejścia do cieśniny, o półtoréj mili od niego, i koło południa zaczęły walić z armat do dwóch warowni tureckich znajdujących się na obu brzegach cieśniny przy samém wejściu do niéj. Zaczepione warownie zaczęły strzelać do okrętów. Strzelanina trwała przeszło trzy godziny. Włosi wystrzelili 180 razy. Od ich buchadeł wszczął się pożar w warowni Kumie położonéj na brzegu azjatyckim i spaliły się mieszkania wojska tureckiego. Natomiast Turcy trafili kulą armatnią wybuchową w jeden z okrętów włoskich i uszkodzili go tak, że podobno zatonął. Po godzinie 3-éj po południu okręty włoskie zaprzestały strzelania i odpłynęły w stronę zachodnią. Rząd turecki ogłasza, że podczas téj strzelaniny został zabity tylko jeden żołnierz turecki, i raniony również tylko jeden.

Rzym, d. 22. Okręty włoskie nie zamierzały podobno wchodzić do cieśniny Dardanelskiéj, ani wysadzać wojska na jéj brzegach. Włosi piszą, że okręty te chciały tylko wywabić z cieśniny i morza Marmurowego okręty wojenne tureckie, aby stoczyć z niemi bitwę. W tym celu podpłynęły do Dardanelów, a gdy Turcy zaczęli do nich strzelać ze swych warowni nadbrzeżnych, odpowiedziały im strzałami, poczém odpłynęły z powrotem. Rząd włoski ogłasza, że okręty żadnych strat od strzałów tureckich nie poniosły.

Konstantynopol, d. 23. Okręty wojenne włoskie poprzecinały druty od telegrafu podmorskiego, który łączył miasta tureckie na brzegach Azji z wyspami na morzu Greckiém. Z tego powodu niewiadomo napewno, co dzieje się na tych wyspach. W tym samym czasie, kiedy gromada okrętów włoskich ostrzeliwała wejście do cieśniny Dardanelskiéj, inne okręty uwijały się pomiędzy wyspami wzdłuż brzegu Turcji azjatyckiéj. Kilka ich ustawiło się naprzeciwko przystani Wati na wyspie Samosie i waliło do niéj z armat. Nazajutrz Włosi strzelali do miasta Aiwali pod Smyrną (poszukaj na mapie, gdzie leży miasto Smyrna), a także do kilku miejscowości na wyspach Chijosie i Rodosie. W sobotę zaś 20-go kwietnia strzelali do warowni Mekry pod Smyrną i zburzyli stację telegrafu w poblizkiém ztamtąd mieście Czeszmie. W poniedziałek znów strzelali do wyspy Chijosu, która leży naprzeciwko Smyrny. Przypłynęło tam aż 14 okrętów włoskich.

— *24.* Turcy przewidują, że wojska włoskie z okrętów zajęły jedną z wysp tureckich na morzu Greckiém, zapewne wyspę Chijos.

— Po strzelaninie w Dardanelach Turcy zapuścili do téj cieśniny buchadła podwodne, aby zamknąć drogę przez nią dla okrętów włoskich. Buchadła te zaczęto usuwać dopiero po kilku dniach, a tymczasem na morzu Greckiém i pod Konstantynopolem zgromadziło się po kilkadziesiąt okrętów kupieckich, czekających na przejazd.

Rzym, d. 24. Okręty włoskie zatopiły strzałami z armat statek wojenny turecki, który stał przy brzegach wyspy Samosu, a nadto zniszczyły na wyspie mieszkania wojska tureckiego i cztery armaty i zmusiły dowódcę warowni, że zdjął z niéj i oddał Włochom chorągiew państwową Turcji. (Niedawno pisano w Gazecie, że wyspa Samos jest osobném księstwem, choć zależném od Turcji.)

Wojna w Maroku. Ludność Maroka w Afryce burzy się przeciwko zagarnięciu jéj kraju pod panowanie Francuzów. W przeszłym tygodniu wybuchło groźne powstanie w Fezie, stolicy tego kraju, przeciwko Francuzom oraz cesarzowi Maroka Mulejowi-Hafidowi, który bez oporu oddał kraj niby pod opiekę Francji. Do powstańców przyłączyło się wojsko cesarskie i wnet ludność opanowała całe miasto i zbrojnym tłumem otoczyła zamek, w którym mieszka Mulej-Hafid. Znaczna część gwardji cesarskiéj została wyrznięta. Ludność poprzecinała druty od telegrafu, który Francuzi przeprowadzili z Fezu do miasta nadmorskiego Kazablanki, gdzie stoją ich okręty. Francuzi, dowiedziawszy się o tém, co się dzieje w Fezie, posłali na pomoc swoim wojsko, które znajdowało się w sąsiedniém mieście Mekinezie. Powstańcy chcieli zastąpić Francuzom drogę, ale po krwawéj walce musieli ustąpić. Wojsko francuskie weszło w sobotę 20 kwietnia do stolicy. I tu jednak jeszcze spotkało gorący opór, więc zawrzała krwawa walka na ulicach miasta. Francuzi musieli zdobywać miasto po kawałku, strzelając z armat szybkostrzelających, którym licho uzbrojeni choć waleczni powstańcy nie mogli się oprzeć. Francuzów poległo podczas tych walk, podobno tylko 68-miu, w czém 15-tu oficerów; ranionych zaś zostało 74. Krajowców zginęło daleko więcéj, a około tysiąca dostało się w niewolę i zostało zakutych w kajdany. Francuzi donoszą, że w samym Fezie powstanie już stłumili. Ale w głębi Maroka powstańcy się trzymają i niełatwo będzie Francuzom zapanować w całym tym kraju.

Z Ameryki Północnéj. *Nowy-Jork, d. 22.* W piątek 19-go kwietnia przypłynął do Nowego-Jorku w Ameryce okręt „Karpatja", który uratował część podróżnych z rozbitego na oceanie o górę lodową okrętu „Tytanika". Pokazało się ostatecznie, że uratowanych zostało od śmierci zaledwie 705 osób, a zginęło aż 1 tysiąc i 665. Z 750-ciu ludzi jadących trzecią klasą ocaliło się tylko 200, a zgórą pół tysiąca utonęło w morzu; byli to przeważnie Chorwaci z pod panowania cesarza austrjackiego; jechali do Ameryki na zarobki, a znaleźli straszną śmierć w głębinach morskich. Wiele kobiét uratowanych utraciło rozum, gdyż nie mogły znieść okropności, na które patrzyły. Z początku, gdy okręt „Tytanik" uderzył o górę lodu, nikt z podróżnych nie chciał wierzyć, aby na tak wielkim gmachu groziło im co złego. Dopiero, gdy kapitan czyli naczelnik okrętu rozkazał spuszczać na wodę łodzie ratunkowe i wsadzać do nich kobiéty i dzieci, a następnie gdy woda zaczęła zalewać okręt i pogasły na nim wszystkie światła, wszczął się straszny zamęt i popłoch. Powstał krzyk, płacz, bieganina, zaczęto pchać się do łodzi, nastało na okręcie istne piekło. Tylko kapitan Smit, Anglik, i większa część służby okrętowéj nie straciła głowy. Wiedzieli oni, że to ostatnia dla nich godzina życia, że czeka ich niechybna śmierć w morzu, a mimo to nie myśleli wcale o ocaleniu siebie i do ostatniéj chwili sumiennie i dzielnie pełnili swój obowiązek, ratując od śmierci podróżnych, którzy zawierzyli im swe życie. Niestety, na łodziach mogła zmieścić się tylko cząstka podróżnych. Kapitan Smit do ostatniéj chwili stał na swym mostku i wydawał rozporządzenia, aż znikł wraz z okrętem w głębinach morza. Wielką dzielnością i poświęceniem odznaczył się także telegrafista okrętowy Filips, który nie dbając o siebie wysyłał wciąż w przestrzeń przy pomocy elektryczności wiadomość o nieszczęściu, aby sprowadzić ratunek. I kapela okrętowa dzielnie w téj strasznéj godzinie pełniła swój obowiązek. Na rozkaz kapitana przygrywała najprzód wesoło, aby dodać odwagi podróżnym, a potém, gdy już pozostałym na okręcie ludziom śmierć w oczy zaglądała, zaczęła grać pieśń religijną, aby zwrócić ich myśli do Boga. Uratowana została tylko część kobiét i dzieci, oraz niewielu mężczyzn. Kilka przepełnionych łodzi zatonęło. Z pozostałych zabrał rozbitków okręt „Karpatja", który pierwszy przybył na ratunek.

Na stronicach dodanych, 9 i 10, dzisiejszéj Gazety mieszczą się: Odpowiedzi od Redakcji. — Odpowiedzi prawne. — Zawiadomienia. — Wspomnienia o zmarłych. — Ogłoszenia.